Nr. 35. We Lwowie dnia 2. września 1895. Rok III.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha

Z ALP.

(WRAŻENIA).

V.

Na szczycie Eggishornu.

1.

Zrzuć cielesne z siebie brzemię, odsłoń wzrok z śmiertelnych [błon
I patrz, duszo: w śniegach białych to nie głaźny sterczy [mur,
To przedwiecznych piewców plemię niezdobyty ma tu [schron,
Pradruidów skamieniałych spoczął tu olbrzymi chór.

W promienistym dyademie, zasłuchany w boży dzwon,
Który w plasmach sił ospałych budzi czujny życia wzór,
Tak-ci, z niebem łącząc ziemię, wieki tutaj duma on,
W płaszczach z lodu okazałych, w wieńcu z blasków albo [chmur.

I, zaklęte w te przestworza, szumi ciągle z dawnych lat
Echo hymnów eonicznych, które chór ten w bezkres słał,
Gdy z pierwocin wstawał łoża mnogokształtny, rojny świat.

Płynny dźwięk tych tchów rytmicznych niemym jest dla [ludzkich ciał:
Ty, ma duszo, córko boża, żeś się zbyła ziemskich szat,
W tych milczeniach ustawicznych czujesz wielkich głosów [zwał:

2.

Chwała-ć, Duchu, jasny, święty! chwała-ć dziś i w przyszły [czas,
Iżeś przebił mrok chaosu i słoneczny stawił gród;
Iżeś wniknął w mgieł odmęty, wywiódł z nich i śnieg i głaz,
Zieleń drzewa, miękkość wrzosu, zapach róż i błękit wód.

Że do swego przez cię losu jest przykuty wszelki płód,
Żeś dał gwiazdom obieg kręty, horyzontom zorzy pas,
Żeś użyczył burzom głosu, grom zlał z błyskiem w jeden [cud,
Że z żywota zgon poczęty zmieniasz w żywot, pełen kras.

Ale w tem jest dziw nad dziwy, że rozdrabniasz własny [byt
Na cząsteczek miljony, wprawiające wszechświat w ruch,
Ach! a wszędzie — w ziołach niwy, w pośród fal i skalnych [płyt,

W płazach, w wichrach, w duszy onej, co w hymn bliźni [wszystek słuch
Wytężyła w kształt cięciwy, jesteś, niby szczytów szczyt,
Jeden, cały, niezdrobniony — jeden Wszechświat, jeden [Duch!

3.

Tak przedwiecznych ech kapele, tak melodje pierwszych [tchów
Rozlewają się w bezmiarze, jak brzęczące roje pszczół...
Naodziani w śnieżne biele, w blaskach lodu wkoło głów,
Przysłuchują się pieśniarze, śród zaklętych drzemiąc kół.

Matterhorny, Miszabele chłoną dźwięki własnych słów,
Aletsch, Eiger z Mnichem w parze — Duch ich ciała w jedno [skuł —,
Jungfrau, pierwsza w tym kościele, w którym spoczął [wieszczy huf,
Finsteraarhorn w groźnym czarze, wpół w gleczerach, we [mgłach wpół.

Słucha dusza i w tych dumach rozpoznaje hejnał swój,
Którym brzmiała przed wiekami, gdy ją boży wywiódł [dech,
Aby mknęła w bratnich tłumach na życiowy, wieczny bój

I Maerjelen z lodu krami, jak demonów zimny śmiech,
I, wśród lasów, w cichych szumach, harmonijny tocząc [zdrój,
Słucha Rodan, wraz z lasami, tajemniczych, świętych ech...

Eggishorn w lipcu 1895.

Jan Kasprowicz.

MARZYCIEL.

Obrazek z bruku warszawskiego

Przez

KLEMENSA JUNOSZĘ.

(Dokończenie).

— To nie marzenie, panie Ignacy, lecz rzeczywistość.

— Tak, ale z niej snuły się marzenia.

— Z suchego chleba?

— Właśnie. Marzyłem, żeby kiedyś można mieć chleb z masłem, albo z szynką, żeby matka kupowała więcej... ale to się nie spełniało.

— Biedny chłopiec! Czemuż nie znałam pana wówczas; może byłabym mogła co zaradzić.

— Później oddano mnie do miasta, do szkół.

— A więc znów marzenia o nauce, może o sławie i wysokiem stanowisku. Chłopcy tak marzą, niekiedy.

— I ja marzyłem, ale nie o sławie. Cóż tam sława! Ani jej ukroić, ani na chlebie nie rozsmarować. Ja nie rozumiem, co z niej przyjdzie. O nauce marzyłem. Całe noce przesiadywałem, aby zdobyć trójkę z łaciny, nie obciąć się z greckiego i otrzymać promocję, bo oczywiście czem się prędzej szkoły skończy, tem prędzej się z nich wyjdzie, a marzyłem o tem, żeby wyjść jak najprędzej, bo gospodyni u której na stancji stałem, była bardzo skąpa i nieraz trzeba było głód cierpieć. W ostatnich latach pobytu w szkole dawałem lekcje młodszym uczniom i tym sposobem miałem trochę zarobku.

— Aha, więc już głód nie dokuczał?

— Ale gdzieżtam! dokuczał jeszcze bardziej, gdyż jako chłopiec starszy, miałem większy apetyt. Jabym mógł cały bochenek chleba zjeść, a ona mi dawała na śniadanie dwie bułki! Co to znaczyło! a obiady były liche i skąpe.

— Przecież, mając pieniądze można było sobie radzić w obec skąpstwa tej niegodziwej gospodyni.

— Proszę pani, to prawda, ale cóż kiedy ja byłem taki idealista, taki niepoprawny marzyciel. Nieraz sypiać nie mogłem po nocach, tak mnie te myśli pochłaniały i niepokoiły. Mając rubla, marzyłem o dwóch; gdy trzy złożyłem, to obraz pięciu prześladował mnie na każdy kroku. Najgorzej było, gdym do dziesięciu doszedł. Szczerze się pani przyznam, że to były bardzo ciężkie chwile w mojem biednem życiu.

— Nie potrafię sobie wyobrazić jakie przykre strony może mieć posiadanie dziesięciu rubli.

— Dla ludzi zwyczajnych, proszę pani to nic. Taki ma dziś dziesięć, jutro ośm, albo nic, to mu wszystko jedno. Obojętny zupełnie, ale dla marzyciela, niech mi pani wierzy, że to męczarnia. Chwilowa, powiem nawet, że przyjemna, ale męczarnia.

— Jakaż?

— Wytłómaczę pani. Sen ucieka z powiek, głowa pełna marzeń, bo żeby tak do tych dziesięciu jeszcze dziesięć, i jeszcze dziesięć i jeszcze kilka razy, to złożyłaby się setka, a przyzna pani, że to już ładny pieniądz.

— Chyba jednak przed skończeniem szkół nie doszedłeś pan do urzeczywistnienia tej myśli?

— Owszem doszedłem. Miałem dwie setki, właściwie dwa listy zastawne i czterdzieści trzy ruble w gotówce, kiedy dostałem patent. Moi koledzy wstępowali do uniwersytetów, ja nie chciałem. Nie opłaci się, bo to widzi pani trzeba koszta ponosić i na rezultat długo czekać... lepiej odrazu wziąć się do takiego zajęcia, które przynosi dochód. Trafiło się szczęśliwie, dostałem posadę i znowuż zacząłem marzyć, żeby awansować... żeby trochę większy dochód mieć. Jak zwyczajnie, niepoprawny idealista, marzyciel, a przytem żyło się oszczędnie, grosz do grosza składając, byle prędzej dojść do celu.

Pani Barbara uśmiechnęła się kilkakrotnie podczas tego opowiadania.

— Powiedz pan — rzekła, — czy w tych marzeniach pańskich grała jaką rolę kobieta?

— Kobieta?

— Cóż się pan tak dziwi!

— A no, bo...

— Ale grała, czy nie? Myślałeś pan o jakiej, czy nie myślałeś, albo tak, albo owak.

— Myślałem — odrzekł po chwili.

— Zapewne o ładnej...

— Nie wiem.

— No, przyznaj się, panie Ignacy. Cóż to zdrożnego, że młody człowiek marzy o ładnej kobiecie? Powszechnie tak się dzieje. Czy pańska wyśniona była blondynka.

— Nie.

— A więc brunetka, tak jak ja. Ej, figlarzu, pochlebiać mi chcesz, wmawiać, że marzyłeś o mnie, wówczas jeszcze kiedy ci znaną nie byłam.

— Ależ zapewniam panią, że to nie była brunetka.

— Ani brunetka, ani blondynka, więc oczywiście ruda. Oryginalny gust.

— I nie ruda, niech mi pan wierzy.

— To już nie wiem jaka.

— Ja sam nie umiem tego dobrze określić. Marzyłem o kobiecie, ale w tem marzeniu nie było wcale kobiety.

— Cóż to za łamigłówka szczególna?

— Trochę cierpliwości; jeżeli pani łaskawa słuchać, to wytłumaczę...

— Najchętniej, zaciekawiasz mnie...

— Otóż, przyznam się szczerze, marzyłem o kobiecie, ale nie o żadnej z grona moich znajomych, nie o żadnej z tych które widywałem na ulicy, w teatrze, w ogrodach... kobieta, która figurowała w tych myślach, była przyszła moja żona. Jaka ona miała być: brunetka, blondynka, szatynka... o tem myśleć nie mogłem, gdyż nie byłem zdecydowany na wybór. Przyzna pani, że na to trzeba czasu i przygotowania.. Ja bo tak pomaleńku, stopniowo... obliczałem dokładnie, ile trzeba na utrzymanie domu, na urządzenie, na różne rzeczy...

— I nie wyobraziłeś pan sobie, jak pańska żona wyglądać będzie?

— Owszem, wyobraziłem.

— I jak?

— No, że będzie zawsze ładnie ubrana, według ostatniej mody, że obiad będzie o trzeciej, herbata o siódmej, że niekiedy wybierzemy się do teatru, albo na koncert... w miarę jak będzie można, bo przyzna pani, że żyć nad stan byłoby wielką niedorzecznością.

— Ależ bezwątpienia, ja nigdybym się na to nie zgodziła, ale jeszcze jedno pytanie, tylko odpowiedź musi być szczera...

— Jak najszczersza.

— Czy na pańskiej drodze, na drodze pańskiego życia, nie trafiła się nigdy osoba, którą pragnąłbyś nazwać żoną...

— No, przedewszystkiem... pani.

— Ale przedemną. Uwierzyć nie mogę, aby młody człowiek do lat trzydziestu mógł dożyć, nie zająwszy się ani razu jakąś panienką.

— Tak...

— Oh, pewnie nie o jedną starałeś się, panie Ignacy...

— Niby co do jednej istotnie miałem zamiar...

— A widzisz! i kochałeś ją.

— Nie wiem...

— No, no, bałamucie, przyznaj się.

— Gdybym się był z nią ożenił, to zapewne pokochałbym ją... tak... byłem dla niej życzliwy i przez życzliwość nie ożeniłem się.

— Nie rozumiem...

— Prosta rzecz, proszę pani... Ja nie jestem majętny, niewielki kapitalik, szczupła pensja, ona zaś miała mieć, po najdłuższem życiu rodziców, domek i niby było spodziewane, że jej wuj, stary i dość majętny kawaler coś zapisze... Tymczasem wujaszek ożenił się... zapis przepadł; przez samą więc życzliwość, nie mogłem się żenić z tą panienką, bo brać żonę na to, żeby miała cierpieć niedostatek, to nieszlachetna rzecz — kto inny, możeby nie miał tych skrupułów, ale ja jestem idealista i niepoprawny marzyciel...

Chciał mówić jeszcze, ale z drzwi, wychodzących na ogród rozległ się grzmiący, potężny głos pana Michała.

— Gołąbki! na obiad!... a prędzej, bo rosół wystygnie!...

V.

Ta druga fotografja panny Teofili, robiona w rok później, w rok po ostatniej wizycie pana Ignacego, daleko lepiej się udała. Fotograf nie miał najmniejszej trudności z pazowaniem, aparat błyskawiczny wcale nie był potrzebny. Bo też i panna Teofila dużo się w ostatnich czasach zmieniła, wszyscy znajomi przyznają, że chociaż bledsza, znacznie jest teraz piękniejsza. Nie tak żwawa, nie taka ruchliwa jak dawniej, spoważniała, nie śmieje się tak często, jak wprzódy, jest nieprzystępna i zamyślona... Wyprawa, nad którą ciotka Weronika napracowała się tyle, spoczywa w komodach i kufrach, nie zmarnuje się, bo konkurentów nie brak, ale panna odrzuciła już dwóch, nie spieszy się za mąż. Mówi, że dobrze jej z rodzicami i że ma obowiązek pielęgnować ich...

Matka tego pielęgnowania niepotrzebuje, ale ojciec zapada na zdrowiu — od niejakiego czasu kwęka, humor utracił, ciągle mu coś dolega tak, że porzucił biuro, wycofał swój kapitał złożony w kasie oszczędności i siedzi ciągle w domu.

Mizantropem się stał. Ciągle powtarza, że świat podły, a ludzie niegodziwi. Uśmiecha się wówczas tylko, kiedy córka przy nim usiądzie, rozmawia z nim, albo też jaką zajmującą książkę na głos czyta.

Tylko przy czytaniu sceny miłosne opuszczać musi, bo pan Ludwik zaraz przerywa, wołając:

— Kłamie bezczelnie! Teraz nie ma już ludzi, którzyby kochać umieli. Kłamie, łotr, obłudnik, faryzeusz!

I tak się przytem zapali, rozczerwieni, rozgorączkuje, że nieraz zachodzi obawa, aby apopleksji nie dostał:

Teofilka uspakaja go wtedy.

— Ojcze — mówi, — tak sądzić nie trzeba... są źli i dobrzy, nikczemni i zacni. Nie można wszystkich bezwarunkowo potępiać.

— Łajdaki i basta! a ty powinnaś o tem lepiej wiedzieć, niż każda inna kobieta. Jabym takich wszystkich w jeden wielki moździerz wsypał i na pieprz utłukł... Rozumiesz!

— Ach, ojcze, ojcze... Ojczulek przecież jest chrześcijanin i bogobojny człowiek, do kościoła chodzi, pacierz mówi i codzień powtarza: »jako i my odpuszczamy naszym winowajcom«...

— No, to winowajcom, ale nie takim obłudnikom! Niech go licho porwie, nie chcę słyszeć jego nazwiska, nie chcę wspominać o nim... Nie

mogę, jak cię kocham, Teofilko nie mogę... a spodziewam się, że i ty mu chyba nie przebaczysz.

Wzruszyła ramionami z politowaniem.

— Już dawno przebaczyłam — rzekła.

— Ty?!

— Naturalnie, lepiej że zdemaskował się wcześnie, że nie zostałam z nim na całe życie związaną.

— Może masz słuszność, moje dziecko, może... ale ja zawsze do niego żal mieć będę... Żeby taką dziewczynę jak ty porzucić, to trzeba być i złym, i głupim...

Ciotka Weronika ciągle pracuje w sklepie, wciąż coś zapomina i znów przypomina sobie... tresuje Zośkę, gniewa się na Marjannę, do państwa Ludwików często przychodzi.

Jednego dnia wpadła jak uragan.

— Wyobraźcie sobie — rzekła — widziałam ich oboje...

— Kogo?

— A no tych... jakże ich tam! Zapomniałam... no Ignacowstwo... Ona wygląda jak ćwik, on jakiś przygnębiony i smutny... Dobrze mu tak, ma co chciał.

— A cóż mu złego? Ma żonę podług swej myśli, ma majątek to znaczny, ma wszystko, o czem marzył...

— Aha, zapewne — odrzekła ciotka Weronika — i woli swej niema i służyć musi na łapkach i tańczyć jak mu jejmość każe... Śliczne szczęście! Ja wiem... wiem... Przed Marcelim żalił się, bo i tamten także nie osobliwie wyszedł... Marcelego mi żal, ale co się tycze Ignasia, niech go tam, ma, co sobie wymarzył...

Warszawa, 15. listopada 1894 roku.

Mniszka-chorąży

(La monja Alferez).

(Dokończenie).

W Kadyxie i Sevilli również zbierały się tłumy dla widzenia głośnej kobiety, w ubraniu męzkiem, tak samo było też w Madrycie, gdzie się nawet ukrywać musiała przed natrętami. W ostatniem tem mieście znowu ją za coś aresztowano, na rozkaz wikarjusza, ale znakomity książe Oliwares kazał ją zaraz wypuścić. Tymczasem nastał rok wielkiego jubileuszu i świat chrześcijański pielgrzymował do Rzymu. Donna Catalina, rzuciwszy służbę w Madrycie, podążyła też za innymi, kierując kroki swe przez Francją, ale podróż ta była niezmiernie uciążliwą, gdyż wzięto ją w okolicach Turynu za hiszpańskiego szpiega, odarto z pieniędzy i odzienia i przez dni pięćdziesiąt trzymano w więzieniu; nakonicc, pod groźbą deportowania zmuszono do powrotu za granicę włoską...

»Przybyłam do Madrytu i przedstawiłam się majestatowi królewskiemu, upraszając go, o wynagrodzenie zasług moich, które wystawiłam w memorjale, oddanym w jego królewskie ręce. Najjaśniejszy pan odesłał mię do Rady Indyjskiej: Udałam się tam, wraz z zachowanemi przezemnie dokumentami. Panowie Rady widzieli się ze mną i stosując się do życzenia królewskiego, obdarzyli mię pensją dożywotnią; w wysokości ośmiuset talarów *(écus)*, tj. mniej trochę niż prosiłam. Było to w sierpniu 1625 r.«.

W parę miesięcy później niespokojna ta kobieta puściła się znowu w podróż do Rzymu, tym razem na statku, płynącym do Genui. Odbywszy parę pojedynków z Włochami, nie lubiącymi »aroganckich hiszpanów«, stanęła wreszcie w Rzymie i ucałowawszy stopy papieża Urbana VIII, opowiedziała mu historję swego życia. »Koleje moje wydały się dziwnemi papieżowi, który udzielił mi pozwolenia noszenia ubioru męzkiego, polecając mi nadal żyć uczciwie, unikać krzywdy bliźniego i pamiętać o przykazaniu Boskiem »*non occides*«... (nie zabijaj)...

Tymczasem wieść o pobycie w wiecznem mieście dziwnej istoty wzbudziła ciekawość powszechną; — książęta, biskupi i kardynałowie, ubiegali się o nią, zapraszając ją codziennie na uczty i przyjęcia. Szlachta rzymska podejmowała ją kosztem senatu i wpisała jej nazwisko do księgi obywateli Rzymu.

»Pewnego wieczora znajdowałam się w towarzystwie trzech kardynałów, jeden z nich, kardynał Magalon, powiedział mi, iż jedyną moją wadą było to, że byłem hiszpanem *(sic)*. Mojem zaś zdaniem, odrzekłem, z przeproszeniem Waszej emminencji, tyle tylko jest we mnie dobrego.

Budujące towarzystwo i pobożne wrażenia nie przeszkodziły jednak odbyć się scenie następującej. W Neapolu, podczas powrotu z jubileuszu do ojczyzny »pewnego poranku zauważyłem dwie dzierlatki, rozmawiające z dwoma pięknymi jegomościami i spozierające na mnie. Jedna z nich odezwała się do mnie: »Pani Katarzyno, dokąd też pani idzie?« — Palnąć ciebie ze sto razy po głowie, odpowiedziałam i zadać sto pchnięć szpady hultajowi, któryby się ośmielił cię bronić!« Zamilkły i ustąpiły mi z drogi«...

W tem charakterystycznem miejscu urywa się pamiętnik, czy też notatki autobjograficzne; — dalsze zaś ślady egzystencji awanturniczej bohaterki odnajdujemy już w rękopiśmiennej kronice miasta Sevilli, a mianowicie, że we cztery lata po jubileuszu ten sam don Miguel de Echazeretta, który będąc kapitanem, przewoził ją niegdyś do Indyj zachodnich, jako młodego majtka, teraz będąc już generałem, zabrał z sobą donnę Kata-

rzynę de Eranzo powtórnie, lecz już jako chorążego i to na podstawie nominacji królewskiej.

Służba rządowa nie zatrzymała jej ostatecznie, gdyż z innych źródeł wiemy, że około r. 1645 znaną ona była powszechnie w Vera Cruz, pod imieniem don'a Antonio de Eranso, jako pośrednik w handlu i transporcie towarów. W tym celu utrzymywała niewolników i muły odbywając dalekie drogi. Jeden ze znających ją wówczas kapucynów powiada, że miano ją tam powszechnie za dzielną istotę, wielkiego serca i zręczności. Jaki był jej koniec, jaką śmiercią zginęła ta, którą tyle razy zaglądała jej w same oczy, — niewiadomo. Ale koleje jej życia odbiły się wielokrotnie w prozie i poezji, wywołując nie tylko zrozumiały podziw, ale i mniej zrozumiałe uwielbienie. Portret jej, sztychowany podług oryginału olejnego malarza sewilskiego Pacheco, przedstawia ją ubraną w wysoki kołnierz hiszpański, pancerz żelazny i kaftan bufiasty ze źle związanemi tasiemkami, podobniejszą do mężczyzny, niż do kobiety, o wyglądzie marsowym i niezbyt pociągającym. Zgadza się z tem opis jej, zostawiamy nam w listach z Rzymu podróżnika Pietro della Valle, znanego pod nazwą Pelerin'a. — 11-go Lipca 1626., pisze on do swego przyjaciela Mario Schipano: »5-go Czerwca przyszła do mnie poraz pierwszy alfiera (chorążyna?), donna Caterina de Eranso, biskajanka, przybyła dzień przedtem z Hiszpanji. Jest to panna lat trzydziestu pięciu lub czterdziestu... Sława jej doszła mnie aż w Indjach Wschodnich.. Zapoznałem ją potem z rozmaitemi paniami i kawalerami, których towarzystwo bardziej się jej podobało. Signor Francesco Crescentio, dobry malarz, portretował ją. Wysokiej i silnej budowy, wygląda raczej na mężczyznę i gors ma tak mało rozwinięty, jak u małej dziewczynki. Mówiła mi, że używała w tym celu jakiegoś środka, dostarczonego przez pewnego Włocha. Skutek był bardzo bolesny, ale odpowiedni życzeniom. Co do twarzy, nie jest ona wcale bardzo brzydka, ale dość zwiędła i już nie młoda. Włosy jej czarne przystrzyżone są krótko, po męzku i ułożone w grzywkę, stosownie do dzisiejszej mody. Podobniejszą jest do eunucha, niż do kobiety. Ubiera się po męzku, po hiszpańsku, nosi miecz swój dzielnie, jak i życie. Głowa jej dość nisko jest osadzona na podniesionych ramionach. Słowem, podobna jest ona raczej do żołnierza, niż do dworaka. Jedynie ręka jej przypomina płeć jej, gdyż jest pełna i miękka, chociaż silna i sprężysta; w ruchach też przebije się czasem coś niby niewieściego«.

Taką była dziwna ta hiszpanka, którą niewiem na jakiej podstawie, porównywano nawet z jej słynną rodaczką, wniebowziętą Św. Teresą. Porównywano ją zresztą i z bardziej ziemskiemi niewiastami z Safo, Aspazją, Porcją ect., — a zawsze chyba nietrafnie. Zresztą czytelnik sam to osądzi.

Rom. Baudouin de Courtenay.

Ewolucja organizmów*)

przez

Bolesława Limanowskiego.

Kiedy powierzchnia ziemi ostygła do pewnego stopnia, pokryła ją skroplona para wodna. Podług wszelkiego prawdopodobieństwa, był czas, kiedy lądu nie było, a rozciągała się równa tafla oceanowa. Znaczna temperatura, jaką w tym czasie skorupa ziemska jeszcze posiadała, ogromne ciśnienie gęstej atmosfery ziemskiej obfitość wszelkich gazów, a przedewszystkiem dwutlenku węgla i prawdopodobne istnienie sinu — przedstawiały takie warunki, że mógł wówczas powstać pierwoszcz (protoplazma), ta podstawa życia organicznego.

Drobne cząsteczki tego pierwoszczu, zwane monerami, stanowią najpierwszy szczebel życia ustrojowego. Haeckel połączył je w osobne państwo pierwotniaków, odrębne od roślinnego i zwierzęcego a mające i jednemu i drugiemu wspólne cechy. Poznano to państwo pierwotniaków dopiero od 1864 r. i pierwsi, co z niem zapoznawali, byli: Haeckel, Huxley i Cieńkowski. Kolonje pierwotniaków, szeroko się rozpościerają na dnie mórz i oceanów. Dr. Emil Bessels, przy sondowaniu morza, znajdował te kolonje wszędzie, gdzie głębokość piasku na dnie wynosiła 14 sążni.

Racjonalna klasyfikacja, morfologja, histologja, embrjologja, paleontologja składają liczne dowody, że cały świat roślinny i zwierzęcy powstał drogą rozwoju (ewolucji) jednych tworów z drugich. Rozwój ten trwał całe miljony lat. Z łona państw pierwotniaków rozwinęły się oba te światy.

Ogromna obfitość dwutlenku węgla, przyjazna życiu roślinnemu, a nieprzyjazna zwierzęcemu, musiała spowodować, że państwo roślinne wcześniej i potężniej rozwijać się poczęło. Pojawiły się pierwsze postacie roślinne: grzyby i wodorosty. Grzybom stanęło to na przeszkodzie do dalszego rozwoju, że potrzebują one gotowego już pierwoszczu do swego odżywiania się. U wodorostów zaś pojawiła się nowa zróżnicowana postać protoplazmy, zieleń (chlorofil), dzięki której w komórkach z pierwiastków chemicznych może urabiać się pierwoszcz. Skutkiem tego, wodorosty rozwijały się i dały początek licznym gromadom skrytopłciowych roślin. Pojawienie się jawnokwiatowych nagonasiennych (gymnospera) roślin jest o wiele późniejsze, a w dalszym rozwoju pojawiają się dwie gałęzie okrytonasiennych: jednoliścieniowe i dwuliścieniowe, które w odle-

*) Jest to ustęp z przygotowanego do druku dzieła p. t. »Wstęp do Socjologji«, a mianowicie urywek z rozdziału p. t. »Ewolucja organizmów osobnikowych i społecznych.

głych epokach geologicznych mało się różnią od siebie, jak przekonały o tem rośliny kopalne.

Teorja gastruli, wspólnego stadjum zarodkowego u wszystkich wielokomórkowych zwierząt, postawiona przez Haeckela i rozwinięta przez A. Kowalewskiego, Hisa, Hertwigów, Pflügera, Mathiasa-Duvala, jest potężnym dowodem jedności pochodzenia świata zwierzęcego. Opierając się na niej, Haeckel nakreślił rodowód państwa zwierzęcego, a późniejsze badania i odkrycia potwierdzają, że w głównych swoich rysach jest on prawdziwy. Podług tego rodowodu, z moner zwierzęcych t. j. tych, które w różniczkowaniu się swojem oddaliły się od ogólnego typu w innym kierunku niż roślinne, rozwinęły się pierwozwierzęta (protozoa), a od tego wspólnego pnia wyszły dwie gałęzie: zwierzokrzewy (jamochłonne, coelentarata) i robaki. Zwierzokrzewy, aż do XVIII. stul. uważane za rośliny, postępowały — rzecz można — w kierunku rozwojowym tych ostatnich i rozmnożyły się ogromnie, ale wyższych form nie wydały. Robaki oddaliły się znacznie od tej drogi i dały początek szkarłupniom (echinodermata), mięczakom i w dalszym postępie kręgowcom. Pomiędzy mięczakami i kręgowcami zajmują pośrednie miejsce osłonice albo oponice (tunicata), zaliczane dawniej do mięczaków. Mają one — przynajmniej w młodości — strunę grzbietową i podobne jak u kręgowców położenie ośrodków nerwowych. Larwy żachw (ascidiae), należących do tego zworza, są w wielkim stopniu podobne do larw żabich.

Rozwój kręgowców znany jest dokładniej od rozwoju reszty zwierząt. Wiele się zawdzięcza w tym względzie paleontologji, która — jak to łatwo zrozumieć — największą liczbę skamieniałości nagromadziła z ostatnich formacyj geologicznych. Darwin i Haeckel mniemali, że najniższą znaną postacią kręgową jest lancetnik (amphioxus lanceolatus), który w budowie swojej ma wiele jeszcze podobieństwa do żachwy. Rybka ta mała nie ma ani czaszki, ani mózgu, ale ma początek kręgosłupu. Późniejsze jednak badania mocno zachwiały to mniemanie. Atoli w każdym razie przeważa to zdanie, że początku ewolucyjnego dalszych postaci zwierząt kręgowych należy się szukać pomiędzy rybami, których liczba form kopalnych jest ogromna, i w rozmaitości których można śledzić niemal krok za krokiem odbywający się rozwój, tak że — zdaniom Gaudry'ego — przejście stanu pierwotnego ryb kościstych do stanu obecnego, stanowi jeden z najwięcej uderzających dowodów na korzyść teorji ewolucyjnej. Wogóle jednak formy przejściowe nie są łatwe do wyszukania, bo — jak powiada Darwin — walka o byt pomiędzy bliższemi formami jest zażartsza, aniżeli pomiędzy odleglejszemi, a skutkiem tego i formy przejściowe rychło giną. Z ryb powstały płazy, których larwa ma postać więcej rybią, aniżeli płaza dorosłego. W dalszym rozwoju szły gady, które dały początek dwóm gałęziom: ptakom i ssakom. Formę przejściową od ryb do płazów stanowiły ichtiozaury, a dinozaury i archaeopteryx były ogniwami wiążącemi gady z ptakami. Kolejne to powstawanie tworów zwierzęcych potwierdza historja ziemi. W okresach sylurskim i dewońskim wieku paleozoicznego napotykamy tylko ryby; w okresie węglowym widzimy już gady; w okresie tryasowym wieku mesozoicznego pojawiają się najwcześniejsze ssaki, a w okresie jurajskim ptaki.

U ssaków formy przejściowe kopalne jeszcze dokładniej uzupełniają całość rozgałęzienia rozwojowego. Pierwsze postacie zwierząt ssących były bezłożyskowe. Łożysko jednak stanowi ważny przywilej ze względu na potomstwo i dla tego skoro pojawił się zaczątek onego, rozwój postępowy skierował się po tej drodze i wywinął się cały szereg zwierząt łożyskowych coraz doskonalszych pod względem organizacji. Powstały wieloryby i amfibije; gruboskórce i przeżuwacze, bezzębe, gryzonie, drapieżce, nietoperze, czwororęki i dwurękie. Paleontologja ze szczątków kopalnych odtworzyła liczne postacie, zajmujące miejsca pośrednie. Na granicy przeżuwających i gruboskórnych ssaków, postawiła ona anoplotherium; pomiędzy zaś gruboskórnemi i jednokopytowemi umieściła hippariona i anchitherium. Koń wykształcił się z hippariona w drugiej połowie okresu mioceńskiego, a hipparion wywodzi się od anchitherium, którego przodkiem było palaeotherium, albo jakie pokrewne zwierzę. Palaeotherium, które żyło w okresie eocenicznym, ma cechy wspólne z koniem, tapirem i nosorożcem. Pomiędzy mastodonem i mamutem wykazano 26 gatunków przejściowych.

W długim łańcuchu rozwojowym istot zwierzęcych bardzo już późno ukazały się małpy. Pierwsze formy onych mają wiele wspólnego z gruboskórcami i z tego powodu Cuvier i Paweł Gervais zaliczali je błędnie do rzędu tych ostatnich.

Najnowsze kierunki badań mitologicznych.

(Ciąg dalszy).

Przeciwnicy szkoły antropologicznej do których należy Gruppe w dziele *(Culte und Mythen Leipzig* 1887), z którego tu korzystamy, akcentują wielką różnorodność wyobrażeń i obyczajów u ludów pierwotnych Gdy np. Lang przypisuje wszystkim ludom na pewnym stopniu rozwoju

wynikające z wielożeństwa wyszczególnianie najmłodszego syna (średniowieczne »prawo najmłodszego« *„droit de juveignerie“* *„Jüngsten recht“)* i gdy z tego obyczaju tłomaczy ulubiony w podaniach rozmaitych ludów motyw przewagi najmłodszego syna, to tłómaczenie takie wydaje się Gruppemu dlatego mylnem, ponieważ ani poligamja, ani prawo najmłodszego nie były wspólną instytucją u wszystkich ludów pierwotnych. Zresztą rysy podania odpowiedne pewnemu poziomowi, nie koniecznie zachowują swój niezmienny charakter i na wyższym stopniu rozwoju. Zdarza się wprawdzie, że niejeden prastary zwyczaj ludowy zawlecze się, jako objaw szczątkowy do późniejszych czasów, ale jądro podania, jeżeli nie przystosuje się do współczesnej doby, ginie bez śladu. Kiedy szkoła antropologiczna uważa zwyczaj jako materjalną przyczynę twórczości mitów, przypisuje mu szkoła historyczna tylko wpływ przemijający i formalny, kiedy tamci widzą w jednolitej organizacji umysłowej ludów przyczynę analogicznych motywów podania, twierdzą drudzy, że i czynniki zewnętrzne podobieństwo to wywołać mogły, przypuszczają więc zewnętrzne oddziaływanie na siebie podań na drodze historycznej

Ci, którzy odnoszą zabobony i obrzędy ludowe do czasów wspólności ludów, mylą się zdaniem Gruppego dlatego, że w owych czasach nie mieli jeszcze ludzie pierwotni żadnych wierzeń religijnych. Zgodnośc tak rozpowszechnionych obrzędów, jak np. obrzezanie, albo takich symbolów, jak krzyż haczykowaty znajdujący się podobno z wyjątkiem starego Egiptu we wszystkich częściach świata, dadzą się wyjaśnić na drodze wzajemnych stosunków między już rozdzielonymi ludami, zapomocą wędrówek. Po całym niemal świecie — z wyjątkiem niektórych murzynów afrykańskich i plemion australskich — rozpowszechniona baśń o potopie, nie mniej szeroko po świecie rozprzestrzenione podanie o stworzeniu człowieka z gliny, nie powstały niezawiśle od siebie jeszcze w czasach pierwotnej wspólności ludów, nie rozwinęły się na podstawie jednakowo zorganizowanej natury ludzkiej, jak utrzymują ewolucjoniści, lecz powstały i rozpowszechniły się, jak chce szkoła historyczna mitologów w czasach historycznych pod wpływem wzajemnych oddziaływań.

W najnowszych czasach zjednywa sobie coraz szersze uznanie szkoła eklektyczna, używająca różnych metod do wyjaśnienia mitów i podań, które jako bardzo złożone zjawiska nie mogą być wytłómaczone jednorodną przyczyną. Do takich eklektyków zalicza się we Francji J. Reville, redaktor: »Revue de l'histoire des religions« w Czechach młody uczony Dr. Čeněk Zíbrt, autor dzieła Storočeske vyrcěni, obyčeje, povery i t. d. Praga 1889. Od mitów i podań jeden krok do baśni i klechd. Różnica ma polegać w tem, że tamte mają mniej rozwiniętą skalę barw i cieni, że się przywiązują do jednego miejsca, albo do pewnej osobistości historycznej, kiedy te ostatnie mają charakter fantastyczny, bogaty koloryt i w sobie zamkniętą całość. Bracia Grimmowie, którzy pierwsi zaznaczyli tę różnicę, widzą w obu rodzajach twórczości szczątki wiary sięgającej najdawniejszych czasów. Uczniowie szkoły Grimma (bracia Schott, wydawcy wołoskich baśni) oznaczają tę różnicę nieco odmienniej twierdząc, że to co się zachowało w tradycji z podań mitycznych złożone jest w baśni, to zaś co otrzymało historyczne przeistoczenie złożone jest w podaniu.

Na niskim stopniu tradycji są baśnie ludowe mocno jeszcze zabarwione cudownością. W dalszym rozwoju pozbywa się tradycja cudowności, scenie wypadku daje się za podścielisko pewną ściśle oznaczoną miejscowość, wreszcie przenosi się wątek zdarzeń na osobistości historyczne. Czem bardziej słabnie w pamięci ludu wspomnienie o nich, tem większą potrzebą staje się przenoszenie mitów w czasy nowsze i przystosowanie do nich scenerji. Tym sposobem tłómaczy powstanie baśni z mitów J. J. Hahn: »Sagenwissenschaftliche Studien« Jena 1876. I pod względem pochodzenia baśni ścierają się dwa przeciwne kierunki. Szkoła Grimma utrzymuje, że baśnie poszczególnych ludów (germanów, celtów, słowian itd.) nie są dziełem ich twórczości, ale zabytkiem, własnością praaryjskich ludów w czasach ich wspólnego zamieszkania w Azji. W epoce kiedy ludy te przywędrowały do Europy twórczość podaniowa miała już być w zaniku.

Odmiennie tłómaczy powstanie baśni szkoła Benfey'a (Pantschatantra tudzież Orient et Occident 1864) Utrzymują oni, że baśnie uważane za wspólny duchowy dorobek wszystkich ludów aryjskich rozeszły się dopiero w czasach historycznych po całej Europie. Do VII. wieku naszej ery (podług Liebrechta do VI.), krążyły one drogą z Indji i Persji do Europy w tradycji ustnej, po tym zaś czasie zastąpiły jej miejsce tradycje literackie: przekłady opowieści indyjskich rozchodziły się we wszystkich częściach świata. Znany badacz sanskrytu A. Weber, przyjmuje wzajemną wymianę podań Wschodu ze Zachodem: w przedchrześciańskich czasach miał przeważać wpływ Zachodu na Indje, w czasach zaś po chrześciańskich wpływ indyjski na Europę. Nowsi łączą lub godzą oba obozy Grimma i Benfeya. W rozprawie o »Wędrówce podań« (Essays III. 303—34) dzieli Max Müller podania na pierwotne i pochodne. Pierwsza klasa obejmuje podania znane rasie aryjskiej przed jej rozszczepieniem, do drugiej należą podania, które przeszły później z jednej literatury do drugiej, podobnie jak w języku rozróżniamy stare dziedzictwo aryjczyków od późniejszego nabytku Rzymian, Celtów, Germanów itd. podobnie należy odróżnić wspólne, pierwotne, aryjskie baśnie od później przyjętych, zaszczepionych. Do zwolenników tego pośredniczącego sta-

nowiska zalicza się także folklorysta B. Schmidt (*Griechische Märchen Sagen u. Volkslieder Leipzig* 1877).

Na gruncie słowiańskim przyjęły się najwcześniej zasady szkoły Grimmów. Polacy i Czesi zaspakajali tym swój fałszywy patrjotyzm, który cofając w odległą głąb starożytności całą kulturę narodową dobywał z bajek i pieśni ludowych dowody tej starożytności. Szkoła Benfeya nie znalazła w świecie słowiańskim szerszego zastosowania. Przyłączył się do niej znakomity lingwista prof. W. Jagić (*Historija knjiž vnosti naroda hrvatskoga i srbskoga u Z grebu* 1867) w Rosji zaś skrajny przedstawiciel tego kierunku, niepospolity erudyt: W. U. Stasow, sprowadzający całą tradycją ludową z prototypu azjatyckiego (tj. mongolskiego tureckiego lub turańskiego), pośrednio ze źródeł bramańskich i budyjskich, (*Stasow. Proischoždenie russkich bylin w Wiestniku Jewropy* 1868 I—IV). Baśnie i wierzenia orjentalne zaszczepione zdaniem jego bardzo późno, bo dopiero około XII. wieku naszej ery na glebie rosyjskiej, wegetują tam nędznie, jak rośliny exotyczne w klimacie północnym. Do obozu tego należy dziś A. N. Pypin (o russkich narodnych skazkach w Wiestniku Jewropy 1883—1884) dawniej zwolennik praaryjskiego pochodzenia tradycji ludowej. Przeciw temu jednostronnemu zapatrywaniu wystąpił Busłajew (Otzyw o soczinenii W. Stasowa Otczet o dwienadcatom prisuždenii nagrad grafa Uwarowa Petersburg 1870) A. Afanasjew (Narodnyja russkija skazki 8 tomów, tudzież Pieśni sobrannyja Kirczewski Moskwa 1868) A. A. Schiefner (Otzyw o soczinenii Stasowa, Otczet l. c. 1870), Orest Müller (Opyt istor. obozr. russkoj słovesnosti i Srawnitelno-kriticzeskija nabludenija Petersburg 1879) A. Kotlajerewskij (Razbor soczinenija A. Afanasjewa, Otczet l. c. 1872, tudzież Russkaja narodn. skazka w »Petersburskich Wiedomostiach«). Pośrednie stanowisko między »romantykami«, a »mytofobami«, bo tak się przezwały obie szkoły należy gruntowny znawca starożytności słowiańskich i romańskich: N. A. Wesołowskij.

C. d. n. *Henryk Biegeleisen.*

Rozbiory i sprawozdania.

Józef Czarnecki: Pieśń o Dzwonie Schillera Lwów, 1896. nakładem autora.

Rozprawa niniejsza profesora języka niemieckiego w gimnazjum p. Czerneckiego jest pierwszą w naszej literaturze o jednym z najgłębszych utworów lirycznych piewcy wolności.

Przeznaczył ją autor głównie dla młodzieży polskiej, rozbierającej ten utwor w szkole. P. Czernecki dzieli swe studjum na trzy części: w pierwszej zapoznaje nas z techniką odlewania dzwonów, bez której trudno zrozumieć pieśń Schillera przepełnioną nazwami technicznymi, w drugiej poddaje kompozycję pieśni rozbiorowi ideowemu i estetycznemu, a trzeciej końcowej, umieszcza tekst oryginalny pieśni wraz z przekładem polskim J. N. Kamińskiego. Całość ozdobił chromolitograficzną tablicą poglądową na piec odlewniczy i formę dzwonu.

Pierwsza część (t. zw. realia), na którą dawniejsza szkoła interpretatorów największą kładła wagę, wypracowana z sumiennością, któraby zaszczyt przynosiła i niemieckiej literaturze pedagogicznej, opiera się na dłuższych obserwacjach autora zwiniętej dziś odlewarni przy ul. Krasickich. Przy tej sposobności poleca autor nauczycielom, aby urządzali z uczniami naszych szkół średnich gromadne zwiedzanie melicznych naszych fabryk, cegielni parowych, piekarni, papierni, drukarni, fabryk tytoniu itp. Uczniowie bowiem wychodzą ze szkół nie mając o przemyśle fabrycznym najmniejszego wyobrażenia. Taka właśnie nauka poglądowa — jak to słusznie zauważył p. Czernecki — niejeden uśpiony talent skierowałaby na właściwą drogą. — Słabszą jest druga część rozprawy, mimochodem tylko traktowana, w trzeciej zaś przekład Kamińskiego, jakkolwiek z wielką starannością wiersz za wierszem zestawiony z oryginałem, nie dorównywa mu ani polotem poetycznym ani nawet wiernością. Tę stronę jednak winien nauczyciel uzupełnić z uczniami w szkole, nie potrzebuje zatem oglądać się tak bardzo za pomocą. Uczniowie tylko sami lubią porównywać oryginał z tłomaczeniem, a z zamiłowania tego może skorzystać nauczyciel nawiązując do tłómaczenia cenne uwagi estetyczne i psychologiczne, wnikając głębiej w sam warsztat twórców artystycznej.

Praca p. Czerneckiego może oddać usługi i przy lekturze domowej.

PRO MEMORIA.

2. września 1783. Uchwalono na sesji sejmu grodzieńskiego 61 głosami przeciw 23 podziałowy traktat pruski, mocą którego Prusy zabrały Częstochowę, Rawę polską, Toruń i Gdańsk. Obrady sejmowe trwały tego fatalnego dnia 12 godzin i zakończyły się dopiero o 4-tej po północy.

6. września 1794. Wojska pruskie i moskiewskie, które oblegały Warszawę od 7 tygodni, odstąpiły w nocy od miasta ku wielkiej radości mieszkańców.

6. września 1831. Moskale przypuścili szturm do Warszawy Szańców na Woli bronił z rozpaczliwem bohaterstwem Sowiński, a nie mogąc złamać przeważającej siły nieprzyjaciół, poległ na stanowisku od kul i bagnetów.

6. września 1863 Zginął pod Batorzem Lelewel, (Borelowski) waleczny dowódzca oddziału powstańczego, blacharz z zawodu.

7. września 1831 r. Niecny Krukowiecki, prezydent miasta, podpisał akt poddania się, a wojsku polskiemu, bohaterom z pod Grochowa i Wawru, Dębu, Stoczku, rozkazał przejść na drugą stronę Wisły i podążyć w Płockie.

8. września 1832. Austrja, Prusy i Rosja zawarły w Münchengrätz ugodę co do wydawania sobie wzajemnie przestępców politycznych oraz pomocy w tłumieniu powstania wspólnemi siłami, gdyby takowe wybuchło w którym z zaborów.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.